



BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA  
W POZNANIU



1399891



BG0270216

ANION



ISBN 83-08515-53-5



BIURO LITERACKIE

nie bądź głupi



CZYTAJ

Czuję się trochę tak,  
jakby tę książkę napisał mój  
młodszy brat. Lubię tego brata.

*Mariusz Grzebalski*

Mariusz Grzebalski  
**Negatyw**



358572

Mariusz Grzebalski

**Negatyw**

WIELKI KANION  
  
BIURO LITERACKIE

Wrocław 2004



1399291

Bibl UAM

2004 EO 23

## Kolacja filozofów

Ta ciężko zawieszona  
na kranie jak mokry płaszcz  
szczupła dziewczyna, jej  
mąż z napiętym przez alkohol  
bębnem głowy, gotowy roztrząsać  
bez końca wyższość Platona  
nad społeczną nauką Hegla,  
ten niewielki wzrostem, lecz silny,  
z hiszpańską bródką aspirant  
fenomenologicznej drogi Husserla,  
a jednocześnie handlarz zamkami,  
ten znający równie dobrze zapis  
nutowy *Sonaty deszczowej* Chopina,  
co kilka ciekawszych fragmentów  
krytyk Kanta na pamięć trzydziestolatek,  
nerwowo zaczesujący włosy na skroni,  
ten krzywo uśmiechnięty, teraz  
bardzo zmęczony, były marynarz,  
obecnie zwolennik ZEN i „niemieckiego  
kierunku” w filozofii; czy znajdzie się  
dla nich pędzel na miarę któregoś  
z mistrzów realizmu, gotowy  
oddać ich, siedzących w czujnym  
skupieniu nad butelką wódki,  
czy będzie to tylko seryjnie  
produkowany aparat fotograficzny  
japońskiej firmy Kodak, sprawny

mechanizm, znający pamięć  
szczegółu, lecz uboższy o jeden,  
najistotniejszy wymiar?

### **Pytanie retoryczne**

Odchodzili zmęczeni: ruda kobieta,  
Cyganie-gitarzyści, listonosz  
zapamiętany z dzieciństwa,  
starcy widziani w wyższej partii gór,  
gdzieś w Tatrach, i dwójka dzieci,  
które zapatrzona w krąg wody  
próbowały chwycić go w dłonie.

Po nowe źródła, nowe pogody?



## Może kiedyś

Wielkie wybrzeża, opustoszałe  
i głuche, pełne żelaza, sypiącej się  
stali; wielkie połacie  
rudej blachy, betonu i chłodu  
rosnące piętrami ku górze.

Może kiedyś były mi bliskie wszystkie  
te miejsca:  
wielkomiejskie place, stare kamienice,  
milczenie i strach, starcy  
pytający o dzień  
i deszcz, który pada tu  
często.

## Dom

Zamurowano drzwi,  
drzazgi lecą  
przez rozbite okna,  
w pokojach wiatr  
wbija język pod farbę.

Coraz mniej nas,  
mniej miejsc,  
gdzie można się znaleźć.  
Co rok gorzej.

Wystarcza moment,  
chwila nieuwagi.  
Dosięga nas,  
na co nie mamy  
wpływu.

## Śmierć

Kiedyś przyjdzie i tutaj, do tego domu,  
gdzie ściany świeżo bielone,  
a za sennymi drzwiami  
młoda kobieta twardym ciałem  
rozgniata suknie.

Gdzie jej dotyk i czułe gesty,  
I anioł śmiechu na ścianie  
jeszcze wąty. Gdzie  
nieznośny owad ust kobiecych  
podnosi wciąż skrzydła.

Kiedyś się zjawi, z twarzą pustą,  
z otokiem czarnych ust  
dookoła głowy. Ja  
na śnieg wybiegnę, milczące drzewo  
na rwących się nogach.

I nic już nie będzie.

## Dziś dzień

Dziś dzień jest motylem o złotych  
skrzydłach, pięknym i trującym,  
tak powabnym w zamęcie i tarciu.  
Dziś dzień jest snem czerwonym i magią.

Tak lekko, czarno znaczonimi wozami,  
wozi moją i twoją krew.

## Morze

Nic więcej, cztery okna,  
z czterech stron widok morza.  
Owszem, można było inaczej,  
iść między marynarzy i pić,  
długo, całe dni,  
aż do następnej zimy.  
Ale nie, bo po co?  
Przecież nikt nie chce pamiętać.

Codziennie  
zimna barwa pitnego popiołu,  
wątpliwe dary przyływu:  
biała muszla w smaku przypominająca krede,  
splątana słoma morska,  
kształty kół i ostrza wywabiane cierpliwie  
przez wodę z klocków drewna,  
mokre i ciężkie, rozpadające się w dłoniach  
pod dotknięciem ciepła.

Za oknem kutry,  
rybacy z cynowymi misami twarzy  
wsparci na biodrach.

Żadnych zmian,  
choć można było inaczej.  
Kochać się jak zwierzęta,  
gryząc wargi i plując krwią.  
Ale nie, przecież nikt nie chce pamiętać.  
Więc morze, morze, każdego dnia.

## Stan pośredni

Dziwny czas –  
stare odeszło i nie nadchodzi nowe,  
nic w zamian.

Usadowiłem się  
w liściu ostrokrzewu,  
zupełna roślina, milcząc i słuchając,  
czy nie przechodzi,  
czy nie mijają mnie, tak upragnione.

Co rano  
podnoszę głowę, jeszcze przed świtem,  
ale nic, zwykłe rzeczy:  
młeczkarz z wózkiem, deszcz, kolejowa linia,  
o której nie wie się nic nad to,  
że jest i toczy pętlę wokół osiedla,  
za drzwiami drzwi i obce myśli,  
drogi i miasto z gnijącym śniegiem.

Tylko wieczorem  
głowa nie słucha, ułożona do snu  
czuwa i chodzi, odbywa dalekie wędrówki,  
wraca nad ranem i przesypia dzień  
na wół żywa, na ostatnich nogach.

Czekam, co ma przyjść,  
przyjdzie ponoć zwyczajnie i prosto,  
w sposób nie budzący wątpliwości –  
każdy się dowie i pozna.

## Ofelia

Bez mała średniowieczne gesty,  
co za celebracja, gdy podnosi  
do ust szklankę z herbatą  
po trzy złote paczka.

Zawsze tutaj, odkąd pamiętam,  
nieznośnie ta sama.

Jak Ofelia, która nie żyje  
od trzech tygodni, a wciąż płynie  
i z szeroko otwartymi oczami wygląda,  
jakby ją rzeczywiście interesowało to,  
co unosi się w mętnym nurcie rzeki.

Jestem pewien, że ptak uwiłby sobie  
gniazdo w jej swetrze.

Nawet ten z nieszczerze zadartym dziobem,  
nawet pisklę odarte z barw, pióro po piórze,  
przez chciwe tajemnic dziecko.

I z jaka swobodą traktuje nas wszystkich –  
nie patrzy, gdy schylasz się  
i przeglądasz to i owo na ostatniej półce.  
Zupełnie inaczej, jakby na przekór  
pozostałym sprzedawcom książek.

## Spotkanie

Łagodnie podnoszący się kamień pięty,  
pewny siebie jak łysiejący ojciec  
czterech dorodnych córek, od dziecka  
rozczesujący im włosy przed lustrem.

Wynurzający się niechętnie  
z przytulnej sypialni buta,  
wyczekując na palcach jak pies,  
niezdecydowany jeszcze,  
co do najbliższej przyszłości.

Kto by pomyślał, właśnie tutaj!  
Obok zamysłonej pary pomarańczy,  
w autobusie przepływającym leniwie  
przez samo centrum miasta.



## Szyfry

W międzyczasie  
przyszedł szelest  
spadającego papieru.

Stojący szybko  
odwracali głowy.

Dzieci rodziły się  
bez sprzeciwu,  
białe i nienagannie  
czyste.

W domach starcy  
drapowali ciszę,  
liczyli, że przyjdzie jeszcze  
czas łowów.

Miesiącami nie było  
wiadomości,  
żadnych śladów  
ani poczty.

Tylko grubo garbowana  
skóra okien,  
płetwa księżycy  
w piaskach snu.

## Saturation

Na torach leżał śnieg,  
brudny,  
przepełowiony,  
porysowany gwoździem.

Ktoś obcy stał w korytarzu,  
nie zdejmując płaszcza.

Pilem z glinianej miski  
twojego brzucha,  
bez muzyki i maski.

Pod stopami  
umierała podłoga,  
sztuczna skóra kurzu  
przywierała do drzwi.

Na dnie szafy  
pełnej straconego czasu  
przewracały się liście.

Niespokojne zwierzęta ścian  
czekały na sygnał.

## Brzytwa

Nie wiadomo skąd ani po co przybyła,  
kobieta podniosła ją z ziemi na własną zgubę.

Leżąc pod stopami, wyglądała jak cień rekina  
skradający się niepostrzeżenie do serca ofiary.

Może była postać z raju  
albo Clintem Eastwoodem grającym upadłego anioła.

Nikt nie domyślił się, że mogą być razem:  
brzytwa, rękawiczki i papieros w ustach złoczyńcy.

## Kelnerzy z restauracji Smakosz

nawet noc potrafią podać  
zza okna prosto na talerz,  
z dodatkiem kwiatów  
i odrobiną ciętych gwiazd.

Ich historia jest długa i kręta,  
są w niej pieniądze,  
kobiety, kradzione samochody,  
wódka i inni kelnerzy.

Wierzą w treść, bezgraniczne  
zaprzeczenie formie to tylko legenda.  
Gotowi zmienić się w ptaki,  
goniąc uciekający banknot.

## Saga

Matka życie spędziła  
wśród wzorów chemicznych,  
jej biurko było  
wzorcowym modelem porządku.  
Ołówki i kredki do rzęs  
zajmowały ściśle wyznaczone miejsca,  
nawet sny miała proste i czyste,  
pasujące doskonale do wiśniowych  
sukienek  
i przepisów na ciasta.

Ojciec nie pisał listów,  
mówił krótko,  
nikt nie słyszał, aby się skarżył,  
z czasem zapomniał o prośbach.  
Jego dłonie nie naruszały  
symbiozy rzeczy mniejszych  
(lusterko, grzebień).  
Słowa, które wypowiadał  
łatwo było pomylić  
z zaprasowaną starannie w kant  
parą spodni.

Troski ukryto wewnątrz  
pierzyn i kołder,  
zawieszonym w połowie pytaniom  
pozwolono milczeć,  
zbędne odpowiedzi razem z makulaturą  
wyniesiono do piwnic,  
telefon wypowiadał wyłącznie  
poważne kwestie.  
Wydawało się, że wszyscy  
chodzą na palcach.

## Cygańska dziewczyna

Z tego, co zaszło  
zapamiętałem niewiele:  
młodą cygańską dziewczynę  
w białym haiku sukienki –  
nauczoną śpiewać do rosy,  
śmiać się głośno,  
sam na sam przechadzać się  
z nagą płcią.  
Zamek jej ciała  
jak nietknięty list,  
rymowany owoc ust.  
Sędzia mówił:  
To nie jest dobra konstrukcja,  
Cyganki kłamią,  
ich mężczyźni kradną.  
Na stole drętwiała herbata,  
woźny sądowy zbierał klucze,  
za brudną szybą  
wieczór wyjmował z oka  
sztuczną rzęsę.

## Zwycięzcy

A więc tak to wygląda –  
w szafie płaszcz i agrafka szalika,  
trzy pyski zadowolonych z siebie butów,  
magiczne lustro chusteczki do nosa,  
za którym nic już nie widać.

Oto zwycięzcy, ich podwodne życie,  
będące jedynie jednokierunkową linią prostą,  
brakiem potrzeb i obowiązków,  
znaków zapytania i dróg przeznaczenia,  
kanonu jedynie słusznych wartości.

To wielka wygoda być nieobecnym,  
nie podpadać pod wymogi dobrych manier,  
predykat jednoargumentowy „być człowiekiem”,  
konieczność spania i prawa interpunkcji.  
Samym sobą stanowić czas.

## Czasem

Tyle nas wszystkiego,  
ile deszczu złapanego w palce,  
ile pyłu na skrzydłach ćmy.

Sukienka zwiana  
z gałęzi ciała raz w tygodniu,  
szalik zaplątany w prześcieradło,  
senna pajęczyna poręczoch.

A przecież jesteśmy razem,  
czasem śpimy w jednym łóżku,  
czasem opowiadasz mi sny.

wymaga konotacji;  
elipsa konstytucyjna  
miewełe uas

zdejmyje subwencje  
kobi - gąsioru  
zmowa - blawo  
czasem  
poninoby jak paprecy  
u. dop.

Oraku tego, że co  
razem

jest id razem też  
usamwle

gałęzie ciała - u. dopetu  
jednotorowości

niebabe to  
fuker fortuynja  
nabawa  
zawazno  
w konwle ant

ilomiz?

wiepoluj  
zgnuf

## Nietzsche i my

dla Darka Sośnickiego

Bić się najlepiej za miastem,  
gdzie nikt nie widzi, gdzie ziemia  
jest miękka i czarna. Nietzsche pochwaliłby  
nas, widząc jak leżymy ubłoceni,  
smakując językiem jej cierpkie ciepło.

Jeszcze to, że dziś nikt nie zwraca  
uwagi na innych. Wypuszczają  
z siebie zwierzę byle gdzie, na oślep.  
Nie patrzą na nic i biją się w dzień,  
na asfalcie, przy wszystkich.

## **Człowiek, któremu sprzedałem zegarek mógł być Waltem Whitmanem**

Miało być jak zwykle,  
wzorcowo i czysto,  
tymczasem budzę się –  
nie bardzo mogąc  
sobie przypomnieć, co się stało –  
na buforach towarowego pociągu,  
między jednym a drugim wagonem,  
które niesie gdzieś z prędkością  
kilkudziesięciu kilometrów na godzinę  
przez niekę zielonego światła  
i jest tak, że nie potrafię tego nazwać,  
a w moim gardle na przemian  
budzi się to śpiew, to krzyk  
(nikt go nie słyszy,  
w mijanej okolicy jedynie pola zbóż,  
łasy, pasące się konie),  
bo oto wstaje leniwa pomarańczowa słońca,  
w głosach nie z tej ziemi  
(z tej, z tej właśnie!)  
i jak jeszcze nigdy dotąd  
kręci mi się w głowie z radości,  
więc nie muszę zadawać sobie pytań,  
czy warto było przeżyć to wszystko,  
kiedy w jakiś czas później,  
na wyrwanej ze snu stacji –  
Konin? Koło? Kutno? –

zamieniam zegarek na bilet powrotny,  
parę łyków kompotu z wiśni  
i dobrą wiadomość, że cały czas  
to jeszcze ta sama planeta  
(ta sama, a jakże!),  
a ja jestem, żyję  
i czas jakiś tak jeszcze zostanę  
z tym niezmiernym widokiem  
w pamięci.

## Errata

Lato, samcza krew uderzyła  
do mojej głowy – piszę listy,  
których nikt nigdy nie przeczyta,  
wymyślam, szukam nieobecnych,  
z którymi mógłbym porozmawiać  
i dowiedzieć się, że ja to nie ja,  
bo ja umarłem dawno temu  
i niezwywego wywołano mnie z rzeki.

Tymczasem mamy któregoś lipca,  
palę kolejnego papierosa,  
chciałbym się gdzieś wybrać,  
ale nie mogę się ruszyć z miejsca –  
czas szybko mija, bóg nie zstąpił,  
a popielniczka to jedyne królestwo  
umarłych, jakie jest pod ręką.

Eskimosi potrafią liczyć tylko  
do dwudziestu – takim dobrze.  
Świat mają prosty, coś się zaczyna,  
coś kończy. Mnie nauczono liczyć  
do nieskończoności, więc liczę,  
nie wyrzucam mebli przez okno,  
siedzę, palę, jestem spokojny.

## Porównanie

Trudno, że jedynym porównaniem,  
jakie przychodzi mi do głowy,  
jest sikająca kobieta. Widzę ją,  
jak kuca w rozkroku na blasze  
przystanku, przynosząc sobie ulgę.

Nie potrafię powiedzieć nic mądrego,  
mam problemy z komunikacją.  
Stoję i marzę, mocz leci z góry,  
jak pinezki do puszki na gwoździe,  
zbyt głośno, żeby nie słyszeć.

Nic dziwnego, że tak się dzieje –  
błoto młazzcze, krew płynie  
z palca grubego jak odwłok robaka.  
Mam niespełna czterdzieści minut,  
żeby cię znaleźć przed wyjazdem.

## Negatyw

W tej chwili składam się głównie  
z żołądka i czarnych myśli,  
bolą mnie ręce i zęby.  
Cień w kolorze startych ziemniaków  
gęstnieje pod powiekami jak farba.  
Chciałbym wstać i wyjść,  
posiedzieć przez chwilę na kamieniu,  
posłuchać jak trawa rośnie.  
Niech zamiast miejsca naprzeciw  
będzie dziura wypełniona wiatrem,  
niech geometra snu chwyci w ręce  
papier ścierny albo zabije je dyktą.  
Myślę o ciepłym darze twojej skóry,  
o włosach, w których mógłbym zamieszkać.  
Wiozę zjełczały wór ciała, po cichu,  
jak złodziej; słyszę: oddycha  
w palcach jak kret.

## Zamiast

Znów wszystko przebiegło inaczej,  
potoczyło się nie tym,  
a innym torem (znaczy: nie porównuj  
skutków ze znanymi od podszewki  
przyczynami, przebiegów bez zakłóceń  
z nietypowością efektów).

Znów wyszło kto? co? ile?  
potrafi. Język chciałby więcej powiedzieć,  
ale tylko bardziej się płacze,  
znane z dbałości o czystość ręce  
są uwalane po łokcie (znaczy: nie szukaj  
absolutnego schematu, bezbłędnej mapy  
czterech wymiarów, triady  
oferującej wyłącznie trzy hasła:  
co? jak? po co?). Zamiast jednolitego krajobrazu  
są zwichnięcia przestrzeni, nieskończony  
rubikon szczegółu.



## Archeologia 1994

Przeszłością nazywam pomidory,  
mięsiste, w smaku przypominające mąkę,  
które jadłem któregoś dnia  
oparty plecami o brudny mur,  
bezmysłny i zapatrzony nie wiadomo

gdzie. Życie nie potrzebowało powodu,  
nie szukało usprawiedliwień.  
Czas traćłem w pociągu, w niekończącej  
się podróży labiryntem strug, torów  
i mostów. Całą moją przyszłością miał  
być nos przywarty do szyby (pamiętam  
drzazgi szeleszczące w powietrzu,  
jakby ktoś czyścił nad miastem kapę  
pełną odpadków – nie wiem, dlaczego  
to). Dojrzewaliśmy razem:

kamień, kwiat, wagon grzęznący w trawie  
rdzewiejącym grzbietem, suche  
płótno pękającego drzewa – nigdzie  
nie chciało się wracać.

## Plan

Chciałbym opowiedzieć suitę butelki  
stojącej na stole w towarzystwie  
filizanki do kawy i pudełka zapatek –  
schroniska o ścianach z cienkiej

sklejki. Będzie to sucha i wstrzemięźliwa  
relacja – coś, co nie rości sobie większych  
pretensji, a jedynie szuka zbliżenia  
z oddalonym niezmiernie przedmiotem

(na model wybieram igłę zgubioną  
w stogu siana). Jeśli się powiedzie,  
będzie tam jeszcze o smutnym końcu  
dwudziestu dwóch papierosów wbitych

sfatygowanymi dziobami w dno półmiska  
na ryby (jak strącone samoloty,  
które nie zdążyły jeszcze spalić się  
do końca). Są konflikty, o jakich

nie pisze się w podręcznikach historii,  
choć ofiary leżą, o wyciągnięcie ręki,  
małomówne, skręcone niezdarnie  
w środku zburzonej siodoły z ości.

## Raz jeszcze

To takie proste,  
patrzeć i powtarzać własne myśli.  
Był już taki moment –  
czwarta, pociągi za oknem  
ciągną długie kłykcie dymu,  
prawie śpisz.

Potem? Potem  
przysypano nas piaskiem,  
przez dwa lata ciemność,  
żadnych wiadomości,  
tylko od czasu do czasu list,  
ale ile można wymagać od listów.

Patrzę na mężczyznę za szybą,  
w skórzanym płaszczu, z kołnierzem na sztorc –  
kogoś mi przypomina.  
Był już taki moment –  
myślałem, że ja tak idę, mokrą ulicą,  
mijając zamknięte okna.

## Zanim wszystko naprawdę się zacznie

Przed wszystkim  
sprawdzić, dokąd płynie  
ta łódź. Czy  
nie jest to spóźniony pociąg,

wanna, w której  
czytasz prasę,  
zaginiony autobus-widmo  
wiozący skazanych

na dno przepaści.  
Dowiedzieć się  
czy tych dwoje w drzwiach  
to faktycznie my,

czy nie jest to sąsiad  
z żoną i dzieckiem  
albo przypadkowy mężczyzna  
i dziewczyna, która

spiesząc się zmyliła adres.  
Raz na zawsze ustalić,  
na ile realna jest  
nasza historia,

to miejsce nad kolanem  
wylamujące się  
z opalenizny,  
żółta opuszka palca,

włosy w wannie  
po skończonej kąpeli.  
Odkryć skąd wiara,  
że nie ma spadania,

że jest wiatr,  
bez końca.

## Ręczniki, mydło

W skrzynkach na listy  
przewala się sierść,  
pod oknami wiatr wbija się  
w twarde kolana drzew –

pochwal tę siłę!

Twoja skóra – hieroglif,  
wszystko, co czytam  
(krótkie, piekące zdania),  
sól pod językiem –

sproszkowany półbłękiet.

Ślina wędruje z ust  
do ust – zrób tak jeszcze!  
Pęknięta skóra  
nabrzmiwa ciężarem i barwą

(jestem, jesteś; nie-  
ciągnę).

Później są ręczniki, mydło,  
wiesz dobrze.

## Teraz wiosna

Wszystko się zgadza –  
lato przyszło upalne i suche,  
mijaliśmy się  
podminowani przez krzyk,  
nasze życie przypominało  
wnętrze deski.

Długo nic nie chciało się zmienić.  
Jesienią jarzębiny pękały  
w palcach jak wszy,  
kurz był wszędzie,  
całując cię miałem w ustach  
smak drewna.

Zimą milczeliśmy –  
dwie bryły zatęchłej ziemi,  
pakuły w zapchanym  
przełyku umywalki.  
Spodziewałaś się, że przyjdzie wiosna,  
to miejsce, ty i ja?

Prosta i ufny, spleceni  
na kocu stopami?

## Dobrze

Herbaciany zapach twoich  
włosów – zawiązany  
wokół szyi brązowy beład;  
blisko, o wyciągnięcie ręki.

Na stole śliwki, wino  
w chłodnej pajęczynie wilgoci  
(dobry dla jazzu rocznik  
1959). Cierpka wagina małży

rozchyła wargi  
na język.

## Spadanie

Skóra jej pięt sucha jak kalka –  
mógłbyś ją podpalać?  
Dłoniom dziwnie blisko od nich  
pomiędzy chłapiące pośladki.

Skóra jej szyi wyrażająca niechęć,  
pozwalająca obfaskawiać się fałszywie,  
nabierać soli pod język jak balast,  
kurczyć się, bo wilgoć wzbiera u kolan.

Słyszysz jak bije dzwon jej pępka,  
związany w skobel mięsny migdał?  
Tak, śmierć mieszka w jej piersiach,  
rośnie, kiedy trzymasz je w dłoniach.

Dlatego zrywasz ją z włosów,  
rozbijasz zęby językiem jak fala?

## Blues

Patrzę na ciemniejące pod wieczór tły pagórków  
i wciąż jeszcze nie mogę uwierzyć,

że tutaj jestem: dwa tysiące kilometrów od domu,  
rozłożony wygodnie obok starego mokasynu

z wytatuowanym na języku wyznaniem *fabriqué en France*.  
Dwóch Czechów wystarcza za całe towarzystwo,

jeden udaje niemowę, drugi życzy sobie  
rozmawiać wyłącznie po niemiecku.

Tkwimy obok siebie, trzeci dziei w tym samym miejscu,  
patrząc jak wiatr zwleka z drogi warkocze kurzu

i kładzie je, jak niemowlę do łóżka, na tysiny pól.  
Butelki po winie wystawiają z trawy

bordowe szyje świeżo zarżniętych kogutów,  
dookoła toczy się zwykłe życie.

Ktoś buduje dom, ktoś śpi zmęczony,  
jeszcze inny podrywa śliczną chińską kelnerkę

w barze po przeciwnej stronie szosy; rude wrzeczona drzew  
toną nieprzerwanie w rozlanej szeroko rzece słońca.

## Seans

Co widzi w oczach mężczyzny  
siedzącego naprzeciw?  
Góry, las, strumień przynoszący

z wysokości chłód wody?  
Może caującą się parę, matkę z wózkiem, stadko wron,  
pekińczyka obszczekującego samolot?

Nie, tym razem ma do czynienia z samotnością,  
ze smutkiem wyglądającym na ostateczny –  
znasz to z oczu przepędzanych

z miejsca na miejsce bezpańskich kundli.  
A wszystko teraz, w rozkwicie tej pięknej pory roku  
nazywanej wiosną, kiedy noce stają się dłuższe,

a skóra kobiet uległa i słodka.  
A on, co on widzi w jej oczach?  
Jest tam myśl, że prędzej zrobi dwa kroki do przodu

niż jeden wstecz, jest chęć odmiany  
i spalenia za sobą mostów.  
Teraz wiesz, wszystko może się zdarzyć,

jak z nami, w trawie za barbakanem,  
któregoś dnia, w samym rozkwicie tej pięknej  
pory roku nazywanej wiosną.

## Kwiecień

Tak, łaskawco,  
nie wierzę  
w kręgi twoich aniołów,  
w różany pył  
na twoich dłoniach i włosach,  
częściej śni mi się ciało  
niż dusza.  
Lecz dzisiaj ziemia  
ma smak morza,  
tak łagodnie łąsi się  
do moich stóp,  
drzewa pewne swoich sił  
nabrzmiwiają sokiem  
i nowym kolorem,  
dym z wypalanych ściernisk  
przyniósł muzykę skrzypiec,  
wsączając w mięśnie  
potrzebę tańca,  
ptaki pijane zapachem  
palonego drewna  
skubią głosami słodkie powietrze,  
na wiklinowych przęsłach,  
spokojny, słońcem  
pasie się owad.

Widziałem, nieopierzone  
pisklę wróbla  
bez obaw szuka pokarmu  
na pastwiskach węża,  
w gęsto ściętej  
tkance lasu  
wilgoć i ciepło  
pielęgnują delikatne  
tkaniny liści.

Kto mówi do mnie,  
głosem tak  
wyraźnym?

## S P I S W I E R S Z Y

Kolacja filozofów	5
Pytanie retoryczne	7
Może kiedyś	8
Dom	9
Śmierć	10
Dziś dzień	11
Morze	12
Stan pośredni	13
Ofelia	14
Spotkanie	15
Szyfry	16
Saturation	17
Brzytwa	18
Tutejsi kelnerzy	19
Saga	20
Cygariska dziewczyna	22
Zwycięzcy	23
Czasem	24
Nietzsche i my	25
Człowiek, któremu sprzedałem zegarek...	26
Errata	28
Porównanie	29
Negatyw	30
Zamiast	31
Archeologia 1994	32
Plan	33
Raz jeszcze	34

Zanim wszystko naprawdę się zacznie	35
Ręczniki, mydło	37
Teraz wiosna	38
Dobrze	39
Spadanie	40
Blues	41
Seans	42
Kwiecień	43





oficjalna strona autora:  
[www.biuroliterackie.pl/grzebalski](http://www.biuroliterackie.pl/grzebalski)

Seria „Wielki kanion”, tom 4

Mariusz Grzebalski: *Negatyw*

wydanie II rozszerzone i poprawione

© Mariusz Grzebalski & Biuro Literackie 2004

wydawca: Biuro Literackie

[poczta@biuroliterackie.pl](mailto:poczta@biuroliterackie.pl), [www.biuroliterackie.pl](http://www.biuroliterackie.pl)

redakcja serii i projekt okładki: Artur Burszta

układ typograficzny i skład: Biuro Literackie

fotografia na okładce: Elżbieta Lempp

fotografia autora: Wolf Heider-Sawall

druk: Korab, Wrocław, Wiśniowa 33

Podziękowania za pomoc  
w wydaniu książki zechcą przyjąć:



ISBN 83-88515-53-5

141